



Elementy snobistyczne i ekstrawaganckie

Członkowie Zrzeszenia Studentów Polskich i innych organizacji młodzieżowych na pochodzie pierwszomajowym w Warszawie w 1969 r.

Rozmowa z Ryszardem Stemplowskim, autorem książki o Zrzeszeniu Studentów Polskich, enklawie względnej swobody w PRL.

JOANNA PODGÓRSKA: – Co łączy życiorysy abp. Henryka Hosera, Jacka Santorskiego, Józefa Oleksego i prof. Zbigniewa Cwiakalskiego?

RYSZARD STEMPOWSKI: – To, że jak 85 proc. studentów należeli do Zrzeszenia Studentów Polskich. Pod wieloma względami była to organizacja w PRL unikatowa, społeczno-zawodowa, zajmująca się sprawami socjalnymi, życiem kulturalnym i turystycznym środowiska, kołami naukowymi, praktykami zagranicznymi. Była to organizacja masowa, mimo że przynależność do niej była całkowicie dobrowolna, organizacja

demokratyczna i samorządna. Ordynacja wyborcza, która w niej obowiązywała, przypominała te, które działały w państwach demokratycznych. Sądy koleżeńskie były niezależne i obowiązywała kadencyjność na stanowiskach w komitetach wykonawczych, żeby się działacze nie zasiedzieli. Tak w Polsce wówczas nie działał nikt. Z tej organizacji wyszli tak różni ludzie jak Henryk Hoser i Stanisław Ciosek.

Jak to możliwe, że w 1950 r., w epoce stalinowskiej, udało się powołać tak pluralistyczną instytucję?

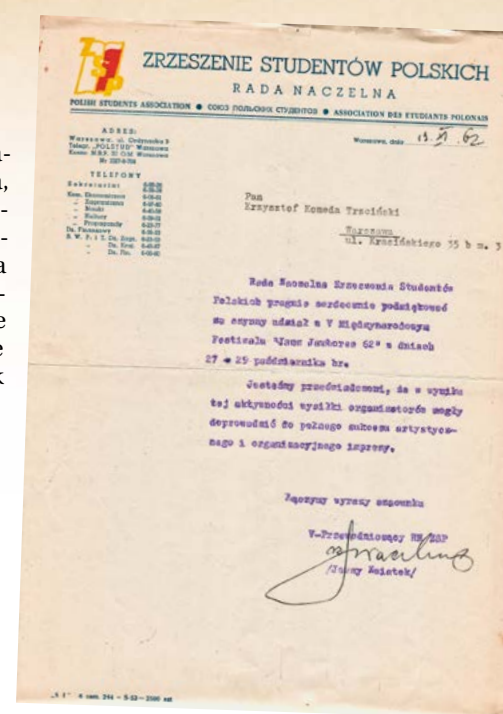
Na początku nie było jasne, jaka to będzie organizacja. Wydawało się, że może coś na kształt związków zawodowych, całkowicie kontrolowanych przez partię rządzącą. Dopiero po 1956 r., w nowej sytuacji, młodzi, studujący inteligenci dostrzegli szansę na samorządność. ZSP uczyło obywatelskiego samoorganizowania się ludzi, którzy wchodzili do inteligencji często w pierwszym pokoleniu. Popaździernikowa fala wyniosła Zrzeszenie do takiej pozycji. Zwłaszcza że upadł Związek Młodzieży Polskiej (ZMP). Potem ta funkcja samorządności rozwijała się tak dalece, że partia rządząca zaczęła postrzegać ZSP jako dysfunkcjonalne. Chcieli tam dodać więcej socjalizmu, który ja nazywam socjalizmem państwowym.

Ale wróćmy do 1950 r. Partia mogła powołać coś w rodzaju Komsomołu, a jednak się powstrzymała. Dlaczego? Już wtedy zaznaczała się polska odrębność?

Nie już, tylko jeszcze. Stalinizm nie zdążył jeszcze w pełni się rozwinąć, gdy Polska Federacja Organizacji Studenckich zawiązała się po wojnie na bazie Bratniaków, sięgających tradycją XIX w. Bratniaki były niemal niescentralizowane. Co jakiś czas podejmowano takie próby, ale właściwie na każdej uczelni była to osobna organizacja; autentyczna, fantastycznie działająca. To była baza, z którą należało coś zrobić, w nadziei, że potem się to wszystko jakoś „zjednoczy”. Taki typ organizacji jak ZSP mógł się władzy wydawać niekłopotliwy: ot, polska specyfika. Dopiero potem okazało się, że ma ono ogromny i autentyczny potencjał samoorganizacyjny. Wielu działaczy Solidarności było w czasie studiów członkami ZSP i mogli wykorzystać to doświadczenie.

Szkoła liderów?

Powiedziałbym raczej, że była to szkoła, która kształtowała młodych inteligentów, uczyła samorządności, organizacji, aktywności obywatelskiej; polityczności w najbardziej elementarnym tego słowa znaczeniu. Oczywiście najwyższą formą samoorganizacji jest państwo, ale są też inne formy, takie jak obywatelskie stowarzyszenia czy fundacje. Takim tworem w PRL było chyba tylko ZSP – może jeszcze Związek Literatów Polskich – wyjątkowym nie tylko w bloku socjalistycznym, ale w skali światowej. Gdzie indziej studenci należeli do samorządu automatycznie, z urzędu. I tylko ich reprezentacje tworzyły coś, co nazywano narodowymi związkami studentów danego kraju. W Polsce samorząd studencki działał w ramach ZSP. To nie było czysto demokratyczne, bo ZSP dano kompetencję panowania nad samorządem, ale ten samorząd inaczej by nie mógł działać. Chodziło o reprezentację przy rozdziale stypendiów czy miejsc w domach studenckich. Władzę wykonawczą powoływano w tajnych wyborach. I to też był unikat w PRL. Do ZSP należało około 85 proc. studentów i 90 proc. dobrowolnie płaciło składki. Do ZMS i ZMW – łącznie ok. 12 proc., a do PZPR niecałe 4 proc. Zwłaszcza w dziedzinie



Podziękowanie ZSP dla Krzysztofa Komedy za udział w festiwalu Jazz Jamboree w 1962 r.

kultury i turystyki ZSP rozwinęło się fantastycznie. Kiedy zetemesowcy pytali nas: jak to robicie, że macie tylu członków i tyle form działania, odpowiadaliśmy: „u nas działanie, u was zebranie”.

Jednak „ideowe kierownictwo partii” ZSP miało wpisane w statut. Bez ideologicznej czapki by się nie obyło?

W tamtych czasach wszyscy musieli płacić ideologiczne serwituty. Wyrażały się one w tym, że czasem organizowano jakieś akademie ku czci czy konferencje na temat patriotycznej np. funkcji wojska. Trzeba jednak powiedzieć wyraźnie, że ZSP nie było organizacją opozycyjną. Co do tego nie ma złudzeń. Prawdziwi opozycjoniści stanowili w tamtym czasie wyjątki. ZSP nie musiało szczególnie aktywnie popierać ustroju, ale też nie mogło występować przeciwko niemu. Wszyscy umieliśmy milczeć, kiedy trzeba, i mieliśmy świadomość, że jeśli w tych

warunkach można zrobić coś dobrego, to my to zrobimy.

Socjal, jaki ZSP wypracował dla studentów, dziś wydaje się czymś niewyobrażalnym.

Tak jak związki zawodowe dzieliły wczasy, zapomogi czy pożyczki, tak Zrzeszenie otrzymywało z Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Sportu dotacje. Inaczej nie bylibyśmy w stanie utrzymać naszych domów wczasowych czy domów studenta. Myśmy tym administrowali, decydowali, kto i wedle jakich kryteriów i w jakim trybie otrzymuje tam miejsce. Nie pamiętam, by zdarzały się jakiegokolwiek nadużycia.

Byliśmy też w dużym stopniu samowystarczalni. Także za przyzwoleniem państwa. Mieliliśmy zgodę ministra finansów, by domy studenckie latem wynajmować jako międzynarodowe hotele studenckie. Przyjezdni obcokrajowcy płacili w dolarach. Wspomniałem już o wpływach ze składek członkowskich. Tylko ZSP i Polski Związek Łowiecki były wtedy w stanie się same utrzymać.

Pisze pan, że nigdzie indziej na świecie organizacja studencka nie prowadziła tak intensywnej działalności kulturalnej. Gdański Bim-Bom czy warszawski STS to tylko początek. Jak to było możliwe?

Patrzmy realistycznie: jeśli studenci w Paryżu chcieli założyć teatr, to po prostu go zakładali, a jeśli polscy – musieli wyjednać zgodę na jego istnienie i dotację. Ale faktem jest, że nie sposób wyliczyć wszystkich naszych festiwali, kabaretów, klubów czy spektakli. I to były rzeczy naprawdę oryginalne. Dam jeden przykład: ponad 100 przedstawień na terenie całego kraju dał teatr Kalambur z pierwszym wystawieniem „Szewców” Witkacego w Polsce, reżyserowanym przez Włodzimierza Hermana. Cenzura patrzyła na to przez palce, bo to... studenci, środowiskowe wydarzenia, małe salki. To było inteligentne wyciśnięcie z auto-kracji tyle swobody, ile się da. Nikt tego nie potrafił tak zrobić jak studenci. W Krakowie odbyły się pierwsze Juwenalia, które współorganizował m.in. Stefan Bratkowski. A jego brat Andrzej zorganizował studencką pomoc dla walczących Węgrów w 1956 r. Jako ZSP prowadziliśmy także dialog Wschód-Zachód ze związkiem Studentów Francji. Odbyło się sześć konferencji europejskich. Jedyne takie w okresie zimnej wojny! Sam w dwóch uczestniczyłem. Dyskutowaliśmy na przykład o demokratyzacji szkolnictwa wyższego.

Była także uchwała, by ZSP reprezentowało różne opcje światopoglądowe. Czy to już nie zaczynało pachnieć opozycją? ▶

► Nie. Po prostu deklaracja członkowska nie wymagała żadnej deklaracji ideologicznej. Było jasne, że jeśli chce się mieć masową organizację, do której należy 80–90 proc. studentów, musi to jakoś odbijać przekrój społeczny. Było wśród nas wielu wierzących, praktykujących może mniej, wśród części było silne nastawienie antykomunistyczne, zwłaszcza antysowieckie. To było w Polsce normalne, także w środowisku studenckim. Tylko tego się nie deklarowało, bo to by był koniec organizacji. Nie w tym celu została ona powołana. Pluralizm wyrażał się w nurcie artystyczno-turystycznym.

Pisze pan, że im wyżej we władzach ZSP, tym więcej studentów należących do PZPR. Pilnowano tego?

Wiem, jak to wyglądało we Wrocławiu, gdzie byłem wiceprzewodniczącym Rady Okręgowej, i w Warszawie. Odchodzący prezes Rady Naczelnej robił notatkę z kilkoma nazwiskami, które proponował do nowych władz. Ci ludzie zazwyczaj byli członkami partii. Sam byłem w takiej sytuacji. Ale w Radzie Okręgowej większość już nie. A zasadniczym ogniwem w ZSP nie była Rada Naczelna, lecz właśnie Rada Okręgowa. Wydaje się, że Wojewódzki Komitet PZPR miał istotniejsze rzeczy na głowie niż kwestie studenckie. W Akademii Medycznej we Wrocławiu kandydatem i prezesem został człowiek, który nie tylko nie był w partii, ale odmówił wstąpienia do niej. Postawiono warunek poparcia dla ZSP, jeśli jego zastępca będzie w PZPR. Dziś jest wybitnym profesorem medycyny.

Nieważna? Organizacja tworząca kulturalną niszę, która kształtuje pokolenia młodej inteligencji?!

Może powiedzmy – niedoceniana. Ludzie władzy w ogóle nie mieli wyobraźni społecznej. I to był tylko jeden z mniej istotnych tego przejawów. W ważniejszych dziedzinach wiele przeoczyli. To był fantastyczny zbieg okoliczności – długo do nich nie docierało, że obywatelska kultura studencka kiedyś w przyszłości tak zaowocuje. Tego nie robili krasnoludki. Ludzie, którzy ją tworzyli, weszli potem do elity.

Ale do elity partyjnej też działacze ZSP trafiali.

Trzy czy cztery osoby zrobiły wielką polityczną karierę w PZPR, weszły do Biura Politycznego czy objęły stanowiska sekretarzy: Stefan Olszowski, Stanisław Ciosek, Hieronim Kubiak, kierownikiem Wydziału Kultury w KC był Jerzy Kwiatek. A przeciw studentów było pod koniec okresu istnienia ZSP 260 tys. Do ZSP należało 200 tys. w jednym roku. Myśmy nawet byli zadowoleni, że nasi koledzy robią partyjne kariery, bo to nam zapewniało święty spokój. Oni zresztą wyróżniali się na tle aparatu. Wiedzą, inteligencją, znajomością świata i języków obcych. Byli raczej technokratycznymi pragmatykami niż ideologami.

Ile osób przewinęło się przez szeregi ZSP?

Szacuję, że przewinęło się przez aktywność przez 23 lata istnienia ZSP ok. 150 tys. studentów; tych, którzy pełnili w ZSP jakieś funkcje z wyboru. To rzesza ludzi. Spójrzmy, ilu dziekanów i rektorów wyższych uczelni się z niej wywodziło – prawie wszyscy.

Marzec 1968 r. był dla ZSP początkiem końca?

Na pewno była cezura i wydarzenie, które bardzo nas osłabiło. Zrzeczenie było na wydarzenie marcowe nieprzygotowane. Władze centralne nie umiały przeciwstawić się partii. To by wymagało innej formacji. Trzeba też pamiętać, że jedną z funkcji ZSP była legitymizacja ustroju. Istnieliśmy za zgodą grupy rządzącej. To dawało partii zadowolenie, bo mogła mówić: „nasi” studenci, „nasi” profesorowie, „nasi” sportowcy.



Ryszard Stemplowski

(ur. 1939), prawnik i historyk, profesor. Wiceprzewodniczący ds. zagranicznych Rady Naczelnej ZSP (1966–68). Szef Kancelarii Sejmu (1990–93), ambasador w Londynie (1994–99), dyrektor organizator nowego PISM (1999–2004). Wykładał na UJ (2004–10) i w jezuickiej Akademii Ignatianum (2010–16). Ostatnio opublikował książkę „Zrzeszenie Studentów Polskich w socjalizmie państwowym 1950–1973”.

Pan jako jedyny z władz naczelnych ZSP potępił użycie przemocy przeciwko studentom.

Z władz tak. Ale na szczeblu uczelnianym to potępienie było masowe. Studenci nie podejmowali uchwał, ale się buntowali.

A władze ZSP, jak pan to ładnie ujął, najpierw „dynamicznie milczały”, po czym wydały dość paskudne oświadczenie o prowokacji, która ma przeciwstawić studentów partii i powiązaniach z międzynarodowym syjonizmem.

No cóż, w centrali funkcjonowali ludzie zorientowani już na własne kariery zawodowe. Nawet w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Trudno było po nich oczekiwać buntu. Nie mam do niego pretensji: po prostu różnił się koniec. To oświadczenie nie miało dla partii wielkiego znaczenia. Było jednym z wielu. I wiedziano w partii, że nie było dla studentów reprezentatywne. Partia dostrzegła w końcu ZSP jako instytucję dysfunkcyjną, która nie pomogła opanować buntu. Już wcześniej pojawiały się pomysły, by „zjednoczyć” organizację studencką i połączyć ZSP ze Związkiem Młodzieży Socjalistycznej (ZMS) i Związkiem Młodzieży Wiejskiej (ZMW).

Działalność Zrzeszenia w pewnym momencie zaczęła uwierać władzę. Nie było tylko konkretnego pretekstu, by podjąć jakieś kroki. Marzec go dostarczył.

Znamienny jest zarzut, że w klubach studenckich, prowadzonych przez ZSP, wykonuje się zbyt mało pracy wychowawczej, że gromadzą się tam „elementy snobistyczne i ekstrawaganckie”.

Niezadowolenie władz kumulowało się latami, aż w Marcu '68 uznano, że jesteśmy dla nich nieprzydatni. Pozbywano się nas etapami. Najpierw w grudniu 1968 r. znowelizowano ustawę o szkolnictwie wyższym, tak by zmarginalizować rolę ZSP. Oczekano, aż z uczelni odejdzie trefny „marcowy” rocznik, i w 1972 r. podjęto decyzję o likwidacji, która nastąpiła w 1973 r.

Było to zjednoczenie z ZMS i ZMW?

Ja się upieram przy słowie likwidacja. Wykazałem dowodnie, że w 1972 r. odbyły się dwa posiedzenia Biura Politycznego KC PZPR, na których postanowiono powołać Socjalistyczny Związek Studentów Polskich. ZSP nie zostało formalnie rozwiązane, bo statutowo mógł o tym zdecydować jedynie kongres Zrzeszenia, a nigdy tego nie zrobił. Statutowo ZSP nie mogło też przystąpić do innej organizacji z wyjątkiem Międzynarodowego Związku Studentów. A więc *de facto* nas zlikwidowano; przejęto nasz majątek i obiekty. Bezprawnie.

Studenci się nie buntowali?

Oczywiście, że się buntowali. Kilko studentów z UW – delegatów na ostatni Kongres – Jacek Santorski, Irena Halak, Konrad Bieliński i Tadeusz Szawiel – napisało odezwę przeciwko tzw. zjednoczeniu, która ukazała się później w paryskiej „Kulturze”. Wzywano do referendum. Jerzy Buzek wspomina zdjęcie z krakowskich juwenaliów, na którym trzech studentów niesie tablice z trzema literami: Z, S i P. A każdy na szyi ma uwiązane na łańcuchu, jakby kamienne, to drugie, socjalistyczne S. To były działania reprezentatywne dla środowiska studenckiego, ale nie masowe. Wiadomo było, że partia się nie cofnie. Na pożegnanie ZSP Wojciech Młynarski napisał nostalgiczną balladę ze słowami: „Te trochę miejsca w życiorysie/ Zostanie zawsze nam/ Na grę va banque, ryzyka smak/ i gorzki smak przegranej/ Daleki cel i marsz pod wiatr/ Przez drogi popłatane”. Część aktywu ZSP przeszła do SZSP, by kontynuować pewne formy działania. Próbowali coś robić, ratować, co się da. Ale to już nie było to samo.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA